

Szyici i sunnici – odwieczny konflikt?

28 kwietnia 2018

Pomiędzy dwiema głównymi gałęziami islamu istnieją poważne różnice doktrynalne, których korzenie sięgają VII wieku. Ale czy naprawdę najlepszym sposobem na rozumienie napięć w regionie jest studiowanie historii islamskiej teologii? A co, jeśli obecny kształt napięć pomiędzy krajami, które tradycyjnie opisywane są rozmieszczaniem po dwóch stronach tej opozycji jest tak długowieczny, że... sięga zaledwie końca lat 70. XX wieku?

Przedziwne kwietniowe bombardowania Syrii przez koalicję Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji nastąpiły niemal natychmiast po okresie wyjątkowo intensywnej aktywności dyplomatycznej pomiędzy stolicami trzech zachodnich mocarstw a księciem koronnym Arabii Saudyjskiej Muhammadem ibn Salmanem (znanym także jako Mohammed ben Salman, MBS). W wyjątkowo krótkim czasie odbył on trzy podróże: do Londynu (7 marca), do Waszyngtonu (19 marca) i do Paryża (8 kwietnia).

Trudno nie spekulować, że na tych spotkaniach uknuto sam rzekomy atak bronią chemiczną w Gucie (jeden z zachodnioeuropejskich dziennikarzy, który pojechał na miejsce, mówiący po arabsku Robert Fisk z „The Independent”, nie znalazł świadectw na potwierdzenie tezy o ataku chemicznym), podobnie jak zrzucenie odpowiedzialności za ten atak na reżim Baszszara al-Asada, a także bombardowania, jakie mają następnie być za ten rzekomy atak „karą”. „Kara” nadeszła tak szybko, żeby międzynarodowi obserwatorzy i śledczy nie zdążyli znaleźć zawczasu dowodów, że al-Asad, cokolwiek by nie miał wcześniej na sumieniu, w tym przypadku jest niewinny. Richard Falk, wybitny ekspert od prawa międzynarodowego, rozpoczął swój komentarz do bombardowań od przypuszczenia, że Syria, być może, bardziej niż za to, że użyła broni chemicznej, została

ukarana za to, że jej nie użyła.

MBS w ten czy inny sposób zapłacił przynajmniej za część amerykańsko-francusko-brytyjskich bombardowań. W Paryżu np. zostawił za sobą kontrakty o łącznej wartości 19 miliardów dolarów.

ARABIA SAUDYJSKA A SPRAWA SYRYJSKA

Saudyjskie pragnienie zniszczenia reżimu partii Baas w Syrii to oczywiście nic nowego. Od samego początku obecnej wojny Saudowie współpracowali z CIA i Pentagonem we wspieraniu salafickich dżihadystów w Syrii – bronią, strumieniem pieniędzy, a także eksportując tam własnych radykałów z ambicjami zmieniania świata, żeby nie robili szumu w królestwie. Tę metodę pozbywania się potencjalnych wywrotowców z własnych granic Saudowie praktykują od czasu salafickiego powstania Dżuhajmana al-Utajbiego, które w listopadzie 1979 na chwilę zdobyło Wielki Meczet w Mekce. Arabia Saudyjska odegrała jedną z głównych ról w samym wywołaniu wojny w Syrii, tzn. w przekształceniu protestów społecznych z 2011 w wojnę do dziś dla niepoznaki zwaną domową.

Dom Saudów miał kosę z Syryjczykami już w okresie rządów ojca Baszszara, Hafiza al-Asada. Gdy ten zmarł i władzę po nim przejął, albo raczej przyjął Baszszar, na krótki okres (niewiele ponad rok od szczytu Ligi Państw Arabskich w 2009) stosunki się ociepliły – król Abd Allah liczył wtedy na wyprowadzenie Syrii pod nowym przywództwem z trzydziestoletniego sojuszu z Iranem.

Z punktu widzenia saudyjskiego wahabizmu (wyjątkowo integrystycznej, „plemiennej” odmiany islamu sunnickiego) syryjscy alawici lądują w jednym worku z szyitami różnych nurtów, ponieważ jedni i drudzy są wyznawcami tradycji Alego, a więc heretykami, odstępcami od islamu „prawdziwego”. Jednak Hafiz al-Asad przejął władzę w wojskowym zamachu stanu w 1970 nie jako reprezentant alawitów, a jako człowiek partii Baas.

Religijna afiliacja jego rodziny nie odgrywała żadnej istotnej roli politycznej, a jednym ze źródeł legitymizacji i stabilizacji jego reżimu w późniejszych dekadach było uczynienie Syrii państwem świeckim, oferującym warunki przyjaznego współistnienia przedstawicielom różnych grup etnicznych i wyznaniowych składającym się na wewnętrzną mozaikę kulturową kraju.

Częściowo dzięki temu jego reżim, choć opierał się na brutalnej władzy wojska i wszechobecnej tajnej policji, nigdy nie był we własnym kraju tak powszechnie znienawidzony jak np. Husniego Mubaraka w Egipcie. Saudowie się z Hafizem nie lubili już od początku lat 70. XX wieku, ale aż do 1979 nie ujmowali tej animozji publicznie w kategoriach różnic religijnych.

Do 1979, bo wtedy miała miejsce Rewolucja Islamska w Iranie, która zmieniła wszystko.

IRAN I GROŹBA REWOLUCJI

Jak pisze wybitny indyjski marksista, historyk i dziennikarz Vijay Prashad (w książce *The Death of the Nation*): „[...] niewiele było antypatii pomiędzy sułtanami Arabii a królem Iranu – pomimo różnych baz społecznych tych monarchii. Łączył je kolor ich krwi. Tę arterię przecięła jednak irańska rewolucja.”

Oraz:

„Rewolucja irańska postawiła reżim saudyjski w poważnym niebezpieczeństwie na trzy sposoby jednocześnie. Po pierwsze, muzułmański monarcha (szach) został obalony. Irańczycy sięgnęli głęboko do studni islamskiej myśli, by stworzyć alternatywny model islamskiego rządzenia – *Welajat-e Faqih* („zwierzchnictwo jurystów” [albo „zwierzchność uczonych” – przyp. JP]). To nie był nacjonalizm w rodzaju Nassera czy Baas, obu zdecydowanie laickich. Irańczycy stworzyli islamską formę republikanizmu. Muzułmańska wspólnota polityczna – ogłosili – nie potrzebowała już więcej monarchii. Po drugie,

Irańczycy rozwinęli nowoczesne instytucje, obsadzone zarówno przez mężczyzn jak i przez kobiety, oraz dopuścili wybory do parlamentu (zakazując udziału partiom komunistycznym, liberalnym i kurdyjskim). Wszystko to stanowiło anatemę w Arabii Saudyjskiej. Po trzeciej, irańska rewolucja ożywiła intelektualną i polityczną odwagę Mohammeda Huseina Fadlallaha [...] w Libanie, by przesunąć politykę po linii szyickiej, co w rezultacie, w kontekście Libańskiej Wojny Domowej, doprowadziło do utworzenia Hezbollahu (Armii Boga). Dostarczyła też nowego dyskursu już niezadowolonym robotnikom roponośnych regionów Arabii Saudyjskiej – tak się złożyło, że wielu z nich było szyitami.”

Wkrótce po ustabilizowaniu się w Iranie nowego porządku ajatollaha Chomeiniego Hafiz al-Asad zwrócił uwagę na Teheran, żeby nawiązać nowy sojusz, obliczony na opozycję wobec Iraku Saddama Husajna. Wtedy właśnie oficjalnym saudyjskim problemem z Syrią stała się specyfika religijna jej samej i jej sojuszu z Iranem. Saddam Husajn natomiast w zamian za saudyjskie wsparcie na sumę miliarda dolarów miesięcznie na konieczne wydatki zobowiązał się w Ar-Rijadzie w 1980 do zbrojnego „opanowania” Iranu i miesiąc później zaatakował Iran, rozpoczynając wieloletnią „sunnicką” wojnę z młodą szyicką republiką.

Arabia Saudyjska używa sekciarskich religijnych podziałów, odwołuje się i podgrzewa sekciarskie lęki i fobie (np. rozsiewa plotki, że irańscy szyici potajemnie werbuja w Syrii nowych wyznawców, żeby zmarginalizować sunnitów), i „wyjaśnia” swoje zbrojne „interwencje” (np. w Jemenie) argumentami o walce z szyickimi heretykami działającymi na zlecenie Iranu, który pragnie przejąć kontrolę nad całym Bliskim Wschodem.

Saudowie i ich sojusznicy z rodzin panujących nad mniejszymi emiratami w Zatoce Perskiej boją się politycznych i intelektualnych wpływów Iranu, bo nie da się ich tak łatwo zdyskredytować argumentem o ich kulturowej obcości i „zachodniości”, jak pokonane już (przy dużym udziale Saudów)

projekty arabskiego socjalizmu i komunizmu. Iran pokazuje ich poddanym, że monarchów można obalić na gruncie samej muzułmańskiej tradycji i kultury, odwołując się do i czerpiąc z niej samej.

HISTERYCZNA NADAKTYWNOŚĆ DOMU SAUDÓW

Obecnie obserwujemy wzmożoną, rzecz można histeryczną nadaktywność Arabii Saudyjskiej i jej sojuszników, zwłaszcza w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, na coraz liczniejszych frontach. Wojny w Syrii i Jemenie; blokada Kataru, który choć powinien przypominać inne okoliczne emiraty skłania się ku Iranowi; uwięzienie premiera Libanu; coraz gęstsze knowania z zachodnimi stolicami i Tel Awiwem („najgorzej skrywany sekret Bliskiego Wschodu”).

Ta nadaktywność bierze się z coraz większego, wszechogarniającego strachu monarchów Półwyspu Arabskiego. Rośnie społeczne niezadowolenie, a na gospodarce opartej tylko na ropie coraz trudniej polegać. Niedawno trzeba nawet było wprowadzić w końcu podatki. Pieniądzy z ropy, przy użyciu których kupowano dotąd spokój społeczny, coraz mniej, a samo utrzymanie gargantuicznych dworów i rodzin królewskich rośnie. „Al-Saud to rodzina królewska jak żadna inna. Jest ich tysiące”. A każdy z tych tysięcy za samo swoje pokrewieństwo z królem otrzymuje „stypendium” (w wysokości od kilku tysięcy do ponad ćwierć miliona dolarów miesięcznie, w zależności od stopnia pokrewieństwa). Do tego chaos od dekad rozsiewany po świecie eksportem ekstremistów zaczął się znowu przysuwać coraz bliżej granic Arabii.

Arabia Saudyjska dysponuje ogromnymi możliwościami propagandowymi w całym świecie muzułmańskim, które umożliwiają jej sprzedawanie swojej wersji wydarzeń, sekciarskiego kostiumu, w który przebiera swój przemożny strach, że dni arabskich monarchii są policzone. Finansuje międzynarodową konstelację szkół koranicznych i meczetów, które uczą świata według królów w Ar-Rijadzie, wydaje książki i prasę, a

saudyjsko-emirackie stacje telewizyjne z siedzibami zwykle w Dubaju, dzięki wspólnocie języka i autorytetowi Półwyspu Arabskiego jako jego kolebki, docierają do arabskojęzycznych odbiorców od Marakeszu po Muskat i Mogadyszu.

SUNNICI KONTRA SZYICI – W OBIEKTYWIE ZACHODU

Jednak te same religijne wyjaśnienia napięć i konfliktów na Bliskim Wschodzie sprzedawane są także nam, w Europie. My też zbyt często dajemy się nabrać, że konflikty między Iranem i jego sojusznikami a Saudami i ich kliką, to konflikty między dwiema odnogami prastarej religijnej schizmy. Główne powody są co najmniej dwa.

Po pierwsze, bezpieczeństwo monarchii saudyjskiej jest oficjalnie wpisane w doktrynę obronną uzależnionych od niej energetycznie Stanów Zjednoczonych od 1957 r. (najpierw w „doktrynie Eisenhowera”, później jeszcze mocniej w „doktrynie Cartera”). W zamian Saudowie i ich przydupasy z okolicznych emiratów odwdzięczają się realizowaniem amerykańskich interesów w swoim najbliższym sąsiedztwie – zwalczając najpierw komunizm (poprzez Światową Ligę Muzułmańską ustanowioną w 1962 w tym właśnie celu), a teraz Iran, który ze swoją niezgodą na globalny porządek pax americana Waszyngtonowi stoi kością w gardle tak samo, jak królom i emirom Arabii. W kolejnym rewanżu Amerykanie wykorzystują planetarną siłę oddziaływania swoich „wolnych” mediów, by powielić propagandowe konstrukty Saudów na skalę wykraczającą daleko poza świat arabski. Często zresztą robią to niechcący i nieświadomie – mając coraz mniej zagranicznych reporterów polegają w coraz większym stopniu na materiałach i komentarzach przysyłanymi im przez „niezależne” think tanki.

Po drugie, Waszyngtonowi tak samo jak Saudom opłaca się, żebyśmy wszyscy odbierali sytuację na Bliskim Wschodzie jako gmatwaninę konfliktów religijnych, które sięgają kilkanaście stuleci wstecz. W przypadku Arabii Saudyjskiej służy to politycznej mobilizacji tożsamości „organicznymi” na potrzeby

jej doraźnych interesów, wytworzeniu emocjonalnego zaangażowania po jednej ze stron archaicznego podziału. My zaś, Europejczycy i Amerykanie, racjonaliści, którzy nic nie rozumiemy z tej całej schizmy we wczesnym islamie, mamy się od całego problemu zdystansować, patrzeć obojętnie. Stawia się nas w obliczu zupełnie niezrozumiałego dla nas, średniowiecznego fenomenu, w którym olbrzymie państwa szarpią się do dziś o paru proroków z VII wieku. Ma to stworzyć wrażenie głębokiej cywilizacyjnej przepaści, która nas dzieli od „muzułmańskiej dziczy”, a w ostatniej instancji kazać nam się pogodzić z tym – i machnąć na to ręką, że na taką dzicz znowu spadają bomby. No bo co innego można zrobić, żeby zapanować nad masą tak irracjonalnych stworzeń?

DWA „TAKIE SAME” REGIONALNE IMPERIALIZMY?

Niestety, część lewicy tak myśli i tak to ujmuje, widząc w Arabii Saudyjskiej i Iranie dwa tyle samo warte regionalne mocarstwa uprawiające na obszarze wokół Zatoki Perskiej konkurencyjne lokalne imperializmy. Ale – nie. Nie może być znaku równości między tak fundamentalnie różnymi ustrojami i tak fundamentalnie różnymi formami zaangażowania międzynarodowego.

Jakkolwiek odległy od marzeń każdego lewicowca jest ustrój współczesnego Iranu, nie można go przytomnie umieścić na tym samym poziomie, co barbarzyńskiej monarchii absolutnej Arabii Saudyjskiej. Nie wszystkie orientacje polityczne mogą w Iranie startować w wyborach, ale przynajmniej są tam wybory. Kobiety nie mają w Iranie równych praw z mężczyznami, ale są prawniczkami, lekarkami i twórczyniami filmów. W tej sytuacji dzień, w którym sięgną po więcej jest kwestią czasu, odpowiedzią na pytanie „kiedy?”, a nie „czy?”. W Arabii Saudyjskiej tymczasem obywatelki dopiero zaczną legalnie prowadzić samochody. Cenzura i inne polityczne ograniczenia produkcji kulturalnej i intelektualnej są w Iranie szeroko obecne, ale nie w stopniu uniemożliwiającym istnienie i rozwój dysydenckiej, krytycznej czy poszukującej kultury. Świadczą o

tym także tej kultury (np. kina) międzynarodowe sukcesy.

W przeciwieństwie do Arabii Saudyjskiej. Socjolog Ahmad Sadri opisując irański system polityczny używa metafory skostniałej autorytarnej skorupy (związanej z klerem szyickim), która trzyma w swojej martwej powłoce wciąż bijące demokratyczne serce społeczeństwa, które tam żyje. Najnowsza historia Iranu pokazuje, że to serce jest wciąż zdolne do narzucenia spektakularnych zwrotów akcji, nie raz nas jeszcze nas one zaskoczą. Trudno cokolwiek podobnego powiedzieć o technokratycznym neośredniowieczu ustroju Arabii Saudyjskiej.

Rozprzestrzeniany przez Saudów po świecie chaos ma na celu wyłącznie zachowanie władzy i przywilejów rodziny królewskiej i spowinowaconych i zaprzyjaźnionych z nią emirów i książąt. Iran kieruje się uzasadnioną potrzebą obrony przed agresją i groźbami Stanów Zjednoczonych i Izraela, które słyszy ustawicznie już od prawie czterdziestu lat. Żeby obronić swoją suwerenność, potrzebuje w swoim otoczeniu państw, które nie upadły i nie zamieniły się w czarne dziury na podobieństwo Afganistanu i Iraku wskutek amerykańskiego, izraelskiego i saudyjskiego gmerania i spiskowania. Irańskie zaangażowanie w Syrii motywowane jest wolą uchronienia sojusznika przed popadnięciem w trwały chaos jak Libia. Iran próbuje powstrzymać chaos. A niektóre kierunki międzynarodowego zaangażowania Iranu miały od samego początku wyjątkowo pryncypialne, aksjologiczne źródła – ze szczególnym uwzględnieniem sprawy palestyńskiej. To nie jest tak, że Iran wspiera Hezbollah i Hamas, żeby zaszkodzić Izraelowi, z którym ma na pieńku. Jest dokładnie na odwrót: złe stosunki Iranu z Izraelem są konsekwencją pryncypialnej, motywowanej aksjologicznie solidarności z antykolonialną walką Palestyńczyków.

Tu ma miejsce kolejny kontrast z Arabią Saudyjską, która od lat funkcjonuje w nieoficjalnym, nienazwanym, niewypowiedzianym sojuszu z Izraelem. A Izrael jest w sojuszu z Arabią Saudyjską, bo jego interesy mogą być bezpieczne tylko

w otoczeniu sąsiadów rządzonych przez monarchów i despotów lekceważących przekonania i żądania swoich ludów. W przeciwieństwie do pałaców Ar-Rijadu, Dubaju, Abu Zabi i Kairu, arabska ulica nigdy nie porzuciła swojej głębokiej solidarności z Palestyńczykami. Gdyby struktury władzy w arabskich państwach zaczęły umożliwiać polityczną ekspresję woli ludu, Izrael nie miałby ani jednego sojusznika w regionie.

Autorstwo: Jarosław Pietrzak

Źródło: Strajk.eu